

## WSTĘP

Kuba przyjeżdża z Łodzi dzień wcześniej, po południu. Wieczór spędzamy na pakowaniu rowerów i bagaży do, złożonych już, tekturowych pudeł. Idealne - według nas – pudło na podróż samolotem, do którego spakujemy: gotowy do jazdy cały rower (prócz zdjętego przedniego koła i przy skręconej kierownicy o 90°), dwie duże sakwy tylne, jedną małą przednią, namiot i karimatę, ma wymiary 165x85x40 [cm] (dług. x wys. x szer.). Ze względu na ciężar zalecamy podwójną podłogę i dużo taśmy. Same pudła już przygotowałem dzień wcześniej, dając napisy w języku polskim i angielskim dotyczące lotu i właścicieli pudeł. W bagażu podręcznym pozostaje każdemu z nas jedna sakwa przednia.

Czuje się entuzjazm jak i stres wynikający z wyjazdu. Dla mnie wszystko, co nie jest dokładnie zaplanowane, jest czymś niepewnym i poza kontrolą. Bądź co bądź jesteśmy skazani na przewoźnika, który przecież może odmówić wzięcia na pokład takowych pudeł z błahej przyczyny.

## DZIEŃ 1

### 2012-08-17 (piątek)

Nocujemy w moim rodzinnym mieszkaniu na Zajęcej, skąd ma nas odebrać serdeczny przyjaciel mego ojca o godz. 03:00 w nocy. Pobudkę planujemy na dwadzieścia minut wcześniej – udaje się wstać. Kwadrans po trzeciej siedzimy już w samochodzie, a za nami dwa ogromne pudła z całym dobytkiem. Ruszamy - teraz już nie ma odwrotu! Na ulicach stosunkowo pusto – prawie 40 km pokonujemy szybko, choć błądzimy w okolicach Zakroczymia. Wynika z braku dobrego oznakowania drogi na Lotnisko Modlin. Wzięliśmy taką sytuację pod uwagę, więc mamy zapas czasowy.

Dojeżdżamy pod terminal, ładujemy pudła na wózek, na którym nasz bagaż sportowy wygląda wręcz karykaturalnie – pudła są ogromne! Dziękujemy koledze za podwiezienie – bardzo ciężko jest znaleźć kogoś z tak funkcjonalnym samochodem! Równo o 04:00 stajemy w kolejce do odprawy, gdzie czekamy 20 minut do okienka. Pani pyta się ile mogą ważyć te pudła robiąc przy tym wielkie oczy – mówimy, że jakieś 30 kg, trudno ocenić, bo nie zważymy ich jako całość, a tylko poszczególne elementy oddzielnie. Swoją drogą podczas pakowania schodziliśmy z wagą jak mogliśmy – ja akurat większość rzeczy od paru lat mam z lekkich syntetyków. Kuba w tym roku poczynił dopiero stosowne zakupy, co z pewnością przyczyniło się do zmniejszenia wagi. Tak czy owak, ważąc w domu każdą część po kolei całkowita waga pudła (sam karton ważył prawie 2 kg!) z zawartością przekraczała wymagane maksimum o ok. 2-3 kg. Przez tę wartość jesteśmy trochę w nerwach. Na szczęście okazuje się, że waga do bagażu wielkogabarytowego jest za mała, aby móc zważyć nasze pudła! Zresztą nawet nikt nie próbuje tego robić. Na oddanie rowerów czekamy bardzo długie 40 minut, w międzyczasie interweniując w informacji i u kasjerek. Podczas oczekiwania stajemy się małą atrakcją terminalu z racji naszych bagaży, co podsycam komentarzami typu: „Kuba, sam nie wiem czy wszystko wzięte, ale chyba tak” ;-). Jesteśmy świadkami sytuacji kiedy pewna rodzina musiała zapłacić 200 pln za przewóz kija hokejowego. Aż chciałem rozpakowywać moje pudło i za połowę tej ceny mu przewieźć tego kija. Facet aż się złapał za głowę dowiedziawszy się, iż przewóz naszych ogromnych i ciężkich pudeł kosztuje nas jedynie 130 pln. Dlatego warto wcześniej zgłosić bagaż, nie zwlekać do dnia odlotu.

W końcu oddajemy pudła straży granicznej/celnikom. Oczekujemy jeszcze parę minut - gdyby jednak okazało się, że jest coś nie tak - i idziemy na kontrolę podręczną. Przedtem oddaję w informacji niepotrzebne już dwie torby Ikea, nożyk i taśmę, które wzięliśmy ze sobą z domu, gdyby okazało się, że jednak musimy zmniejszyć tonaż bagażu i przepakować część rzeczy do nowo wykupionego bagażu. Na szczęście to był plan B, którego nie musieliśmy wdrażać w życie.

Lot trwa 1h 50min. Kuba cyka z paręnaście zdjęć widokowych z samolotu. Ja z rzadka się patrzę przez okno nie chcąc kusić losu ;-). W Bergamo czekamy na odbiór bagaży prawie 30 minut - nasze dwa pudła przynoszą jako ostatnie. Nie zmieściły im się na taśmę, więc musieli się pofatygować osobiście. Ciągniemy pudła na zewnątrz – na szczęście nie są nigdzie poniszczone. Pudła spisały się znakomicie! Rozpakowujemy rowery i przepakowujemy sakwy. Najgorszą rzeczą

jest pompowanie kół ręczną pompką, gdyż zapobiegliwie spuściliśmy z opon powietrze w związku ze zmianą ciśnienia podczas lotu. Miejscowi taksówkarze przyglądają nam się z ciekawością.

Przed 10 ruszamy. Jest już gorąco. Napotykamy spory ruch i mega kłopot z wyborem tras – wszędzie tylko autostrady i brak objazdów. Po 60 km dojeżdżamy do Mediolanu. Zwiedzamy Katedrę Narodzin św. Marii i Plac Katedralny. Przy wyjeździe przejeżdżamy obok słynnego stadionu na San Siro, zbudowanego w latach dwudziestych ubiegłego wieku! Miasto duże, kiepsko oznakowane i chaotyczne – chyba jak całe Włochy. Upał się wzmaga i około 14-stej na drogowych wyświetlaczach pokazuje się czwórka z przodu. Mimo późnego popołudnia temperatura daje nam się we znaki i powoli słabniemy. Dodatkowo czujemy nocne przeżycia. Mimo wynajdowania drugorzędnych dróg ruch na nich okazuje się wcale nie mniejszy niż na głównych (być może z tego powodu, że to piątek wieczór) i nie chcąc zakończyć wyprawy na pierwszym dniu odbijamy w bok w pierwszą lepszą drogę szutrową blisko miejscowości Novara. Podjeżdżamy kilkaset metrów i znajdujemy miejsce na nocleg za budynkami gospodarczymi. Nikt się nie kręci wokół, odczekujemy kwadrans, ale nikt się nie zjawia, więc rozbijamy namioty i idziemy słodko spać. Oczywiście wieczór umilają nam tabuny komarów, które mnożą się bezlitośnie w okolicznych sztucznych kanałach.

## **DZIEŃ 2**

**2012-08-18 (sobota)**

Pierwsza noc jest zawsze odprężająca – w końcu wolność. Wolność od pracy, wolność od niezalatwionych spraw, słycać tylko szmer traw i drzew. Budzę się około 07:00 i drzemię jeszcze z pół godziny, zanim Kuba raczy się zbudzić. W międzyczasie przejeżdża pick-up'em obok nas gospodarz tego terenu. Ogląda chwilę nasz dobytek i nawet nie czekając zbyt długo na moje wyjaśnienia (tylko jedna noc, że podróżujemy rowerami itd.) rusza dalej w drogę po swych polach.

Zwijamy obozowisko dość leniwie i jesteśmy w drodze dopiero o 09:30. Słońce grzeje od samego wschodu. Jest tak gorąco, że zdejmujemy koszulki, aby choć na chwilę ochłodzić ciało pędem wiatru. Ruch na drogach zelżał w porównaniu z dniem poprzednim to i jedzie się przyjemniej. Mijamy sporo zamkniętych stacji benzynowych i to dziwne, bo do tych otwartych piętrzą się kolejki. Niesamowity widok w państwie wolnego rynku. Widok ten nie dotyczy tylko stacji benzynowych – restauracje i bary zamknięte naглуcho „straszą” wokół. Ponieważ mamy mapy Włoch sprzed 10 lat w skali 1:300 000, musimy analizować na bieżąco nasze położenie, gdyż sieć dróg jest bardzo gęsta i sprawia nam nie lada kłopot.

Ponieważ zaczęliśmy wręcz skwierczeć na słońcu, decydujemy się na małą przepierkę koszulek w jednym z licznych sztucznych kanałów. Koszulki z syntetyku wysychają na naszych ciałach w niecałą godzinę! Pogoda taka nie należy do rzadkości, mijamy po drodze pole usiane ogromnymi panelami słonecznymi. Z upraw rolnych dominuje kukurydza, której niestraszne niewielkie opady, a brak przymrozków jest jej na rękę.

Stajemy w napotkanym markecie, robimy zakupy na obiad (oczywiście makaron z tuńczykiem) i przygotowujemy posiłek na małym skwerku przed szpitalem (jakby jednak ta ich żywność nie okazała się taka „friendly”). Nie zaczynamy konwersacji od razu (żebyśmy mieli tematy do rozmów po 10 dniach), każdy zatapia się w swoją lekturę i z pokorą spożywa obiad. Pod koniec sjeisty zaczepiają nas miejscowi, ale rozmowa idzie stosunkowo ciężko i nie chcąc przedłużać katorgi szybko się zwijamy i ruszamy dalej w kierunku Turynu. Znowu napotykamy problemy z nawigacją – zbudowano nowe drogi (głównie autostrady), zmieniono numery aktualnych i musimy się natrudzić zanim znajdujemy pożądane przez nas drogi. Niejednokrotnie łamiemy przepisy, bo inaczej po prostu się nie da.

Turynu nie zwiedzamy – mijamy go bokiem. Zahaczamy jedynie o sklep – Kuba wypija mleko, a ja colę i wstępuję w nas nowe siły. Przejeżdżamy jeszcze obok stadionu Juventusu oddanego do użytku w roku 2011 kosztującego ponad 120 mln EUR. Koszt naszego stadionu narodowego w Warszawie był prawie czterokrotnie większy, a fanów mieści raptem o 50% więcej. Gdzie tu rozsądek i logika?

Po wyjeździe z Turynu napotykamy szereg małych miasteczek i z racji późnej godziny zostajemy wręcz zmuszeni do szukania noclegu w jednym z nich, gdyż zewsząd już patrzą na nas

góry. Rzuca się w oczy charakterystyczna architektura tychże miejscowości – uliczki są często tak wąskie (prócz tej głównej) szerokości jednego auta. Kuba zostaje na czatach, a ja skręcam w boczną żwirówkę zbadać możliwości noclegu. Udaje się za pierwszym razem – rozbijamy się za drewnianym parkanem parkingu samochodowego miejscowej Biblioteki nad rwącym potokiem (z kilkumetrową przepaścią) i widokiem na most. Jest bardzo głośno z powodu szumu wody – musimy podnosić głos, aby siebie usłyszeć z paru metrów. Bierzymy kąpiel i robimy pranie (wieszając elegancko nasze ubrania na parkanie). Na kolację spożywam smaczny biały ser za 5,90 €/kg. Mimo wieczoru temperatura spada jedynie do 27 stopni C – na szczęście możemy nie kryć się w namiotach, bo komara ani jednego w pobliżu. Idziemy smacznie spać – okolice wydają się bardzo słabo zaludnione i mało uczęszczane. Biblioteka jest zamknięta w weekendy, więc parking przed nią stoi pusty.

Około godziny 23:45 budzi mnie monolog w języku włoskim – nie wychodząc z namiotu nasłuchuję i domniemam, iż facet z psem nas zauważył i próbuje zagaić. Siedzimy cicho (choć Kuba z korkami w uszach nie wiem czy jest świadom tego „najścia”) i po chwili głos zanika.

### **DZIEŃ 3**

#### **2012-08-19 (niedziela)**

40 minut po północy nasze namioty rozświetla snop światła samochodowego – wychodzę odważnie jako pierwszy. Na drzwiach auta napis „Carabinieri” mówi wszystko. Bardzo uprzejmie się mi przedstawiają po angielsku i pytają dlaczego tu nocujemy. Zaczynam starą śpiewkę, że zastała nas noc, szukaliśmy kempingu, ale nigdzie nie było, że jeździmy po Europie rowerami i nocujemy pod namiotami. Karabinierzy proszą tylko o wgląd do drugiego namiotu, co nie jest łatwe, bo Kuba smacznie sobie śpi ;-) Biorą od nas dowody osobiste i sprawdzają tożsamości w aucie. Zwracając dowody podkreślają, że w każdej chwili jakby się coś działo można zadzwonić pod numer alarmowy 112. Obiecujemy, że nazajutrz przed dziewiątą (a raczej z racji wizyty po północy, to za 8h) dwa namioty nie będą już stały i będzie wokół posprzątane. Przyjmują tłumaczenia i się oddalają, napędzają nam jednak niezłego stracha. Dostajemy nauczkę, gęsty las jest najlepszy na nocleg. Zmęczeni nagłą pobudką idziemy spać.

Wstajemy parę minut po siódmej. Jest ciut zimniej niż wczoraj i przedwczoraj, co napawa nas optymizmem. Szum strumyka nie był dla mnie uciążliwy w nocy. Kuba miał zatyczki, więc jemu to i tak ganc egal. Piorę jeszcze parę rzeczy w strumyku, jemy śniadanie i punkt 09:00 ruszamy. Nocowaliśmy jedynie 300 m od wyznaczonej trasy, więc po chwili zmierzamy już w kierunku Alp – na miejscowość Susa. Na 23 kilometrze robimy 10 minutowy postój, bo znów się robi upalnie. 7 km dalej stajemy przy markecie Penny – kupuję gruszkę, banana, duży jogurt i robię sobie kanapki z resztką białego sera z rana. Spędzamy pod marketem dobre pół godziny, licząc razem z zakupami i staniem w kolejce (praktycznie rzadko kiedy udaje się nam zrobić zakupy bez przynajmniej parominutowego stania w kolejce).

Przed nami piętrzą się góry. Mijamy znak kończący miejscowość Susa i od razu pojawia się znak zapowiadający podjazd. Pierwsze 4 km o nachyleniu 10% w 40 stopniowym upale jakoś idzie, później okazuje się, że kilometr podjazdu i chwila odpoczynku, bo dalej ani rusz. Strumyki górskie dają nam zapas lodowatej wody, którą pijemy litr z miejsca, a drugim litrem polewamy się dla schłodzenia ciała. Z racji mało komfortowego przełożenia (najmniejsza zębatka z przodu 28) podjazd dla mnie zaczyna być katorgą, bo aby utrzymać się w siodle muszę utrzymać prędkość 7-8 km/h. Serce bije mi jak oszałałe. Kuba mnie wyprzedza, a to nie jest codzienny widok podczas pokonywania wzniesień. Chyba najbardziej męczy skwar z nieba, który wręcz wysysa całe siły, a pot z czoła zalewa twarz. Zaczynam robić krótkie postoje – „chwilówki” na paręnaście sekund, aby uspokoić oddech. Doganiam wkrótce Kubę i parę kilometrów jedziemy razem, choć wyznajemy zasadę, że podczas podjazdów każdy jedzie swoim tempem. Po drodze konsumuję zakupioną w Penny gruszkę, banana i roztopioną czekoladę, ale siły nie wracają. Swoją drogą dobrze, że mieliśmy małe zapasy, bo sklepów brak, a na przełęczy niekoniecznie coś musi stać prócz znaku informacyjnego ;-) Po 16km od rozpoczęcia się podjazdu schodzimy z rowerów i zaczynamy je pchać. Kuba pada wyczerpany na poboczu i kładzie się na asfalcie na wznak – zarówno mi, jak i jemu, nie jest do śmiechu. W międzyczasie zmieniamy kraj z Włoch na Francję,

ale niewiele to wnosi - wzniesienia, wzniesieniami, ale ten upał robi całość parokrotnie trudniejszym wyzwaniem. Po kwadransie Kuba zaczyna dochodzić do siebie (choć jak później stwierdza, bardzo chciało mu się wymiotować), postanawiamy włączyć komórki, aby mieć kontakt do siebie w razie problemów, a ja póki jeszcze mam ochotę i siłę zaczynam samotnie pchać rower wyżej i wyżej (z prędkością całych 4,5km/h!), nawet nie próbując na niego już wsiadać. Pcham rower z dobytkiem przez prawie 4 km z małymi przerwami na jazdę. Na szczęście ruch samochodowy jest mały, głównie jeżdżą motocykliści zadowoleni ze zdobycia kolejnej przełęczy <rotfl> .

Po kilkuset metrowym w miarę płaskim odcinku zaczynają się serpentyny – zaliczywszy już jedną z nich, widzę Kubę na samym jej początku. To napawa mnie optymizmem, że jednak damy radę i zdobędziemy Mont-Cenis w tym dniu. Przełęcz ta to jedno z najstarszych i najliczniej używanych przejść przez Alpy z Francji do Italii – była znana już starożytnym Rzymianom. Pokonujemy parę serpentyn pnących się po prawie pionowej ścianie licząc, iż po nich ujrzymy zapowiadane jezioro i przełęcz. A tu zonk – serpentyny, choć mniej „agresywne” ciągną się dalej. Dobra wiadomość jest taka, że zaraz przy tamie znajdują się bary i hotele. W jednym z nich kupujemy chłodne napoje w puszcze 0,33l po, uwaga, 2,60€ sztuka, ale wyjścia innego nie widzimy, bo prowiant nam się skończył, a strumyka górskiego nie widać było od paru kilometrów. Godzina już późna, a droga dalsza niepewna. Decydujemy się zaatakować dalsze wzniesienia, bo innego rozwiązania nie widzimy – noc na takiej wysokości może być dla nas druzgocąca, a co więcej nawet nie ma jak wbić szpilek, gdyż wszędzie podłoże mocno skaliste. Odpoczywamy ponad pół godziny, temperatura powietrza trochę spadła to i oddech stał się pełniejszy. Wsiadamy na rowery i z bólem nóg pedałujemy w stronę przełęczy – długo nie ujeżdżamy, bo znajdujemy strumyczek górski (i nie tylko my zresztą, bo ustawiła się do niego kolejka ze względu na nikłą jego wydajność) i nawadniamy się do syta oraz bierzemy litr wody ze sobą. Jedzie nam się zdecydowanie łatwiej, ale też wzniesienia jakby mniejsze. Robi się coraz chłodniej – jesteśmy na pułapie pierwszych chmur. Z lewej strony podziwiamy widok na sztuczny zbiornik wodny wokół którego zaparkowane są liczne przyczepy kempingowe.

Jako pierwszy dojeżdżam do jakby punktu widokowego trasy – minisklepy, łazienki, pamiątki itp. Zaczepiam parę motocyklistów z pytaniem czy dalsza droga jest bardziej w dół czy w górę. Odpowiadają, że głównie już w dół, co niezwłocznie przekazuję Kubie, ale uśmiechu na jego twarzy próżno mi szukać. Chwila ta następuje pół godziny później, kiedy to zdobywamy oficjalnie przełęcz Mont-Cenis wys. 2081 m n.p.m.! Była ona pięciokrotnie wyróżniana w Tour de France.

Dotychczas prawie całkowicie rozebrani, odziewamy się czym prędzej – temperatura spada do ok. 15-18 stopni C. Nakładam sweter i skarpetki z pełnymi butami. Czekają nas zjazd ponad 8 km w dół! Mija on błyskawicznie, ale mnogość zakrętów uniemożliwia rozwinięcie maksymalnych prędkości. Zjazd jest około trzykrotnie krótszy niż podjazd, ale nie oznacza to, że trzykrotnie łatwiejszy. Na pewno jego nachylenie jest non-stop na tym samym wysokim poziomie. Całość dystansu od centrum Susa do miejscowości położonej na końcu zjazdu – Lanslevillard to prawie 40 km, z czego prawie 10 km to był ostry zjazd, a 30 km podjazd z elementami płaskimi bądź o różnym nachyleniu.

Pewni już swego i całkowicie odprężeni, gdyż uciekliśmy od ryzykownego noclegu w górach, robimy jeszcze 10 km. Wodę bierzemy u sympatycznej młodzieży w napotkanym domku w Sollieres-Sardieres. Nocujemy zaraz za tą miejscowością na kamienistym ugorze 400 m od drogi, schowani dodatkowo za skromną wysepką z drzew i krzewów. Mimo totalnego zmęczenia humory nam dopisują, bo najcięższy etap wyprawy jest za nami. Upał na wieczór mocno zelżał.

## **DZIEŃ 4**

### **2012-08-20 (poniedziałek)**

Około piątej rano budzi mnie odczucie chłodu – pierwszy raz podczas tej wyprawy. Dopinam śpiwór, i ubrany tylko w t-shirt i bokserki, idę znowu spać. Wstajemy chwilę po siódmej. Zbieranie dosyć sprawnie nam postępuje i jesteśmy na szlaku o 09:20. Zakwasy mocno dokuczają, ale będziemy jechać dalej już doliną, to widoki obiecują się przepyszne ☺

Słońca o poranku sporo, ale zanim nagrzało się powietrze trochę czasu mija i jesteśmy zmuszeni po paru kilometrach jazdy nałożyć coś z długim rękawem. Jedzie się łatwo, czasami w ogóle nie pedałujemy, z rzadka tylko krótkie i mało strome (ale dla nas po wczorajszym znoju wydają się długie i strome) podjazdy. Po 23 km stajemy na drugie śniadanie w markecie. Ukształtowanie terenu jest na tyle przychylne, iż pierwsze 30 km pokonujemy ze średnią ponad 23km/h mimo zatrzymywania się co jakiś czas i robienia pamiątkowych fotek. 85 km zlatuje w try miga i postanawiamy zrobić przerwę obiadową połączoną z przepierką ubrań i kąpielą.

Jeszcze parę kilometrów robimy zanim natrafiamy na dogodne zejście do strumyka, zaraz obok mostu (autostrady). Woda jest lodowata, ale udaje nam się porządnie wykąpać, a mokre ubrania suszone na kamienistym brzegu są zdatne do ubioru w niecałą godzinę. Na obiad standardowo makaron z tuńczykiem. Odświeżeni i wypoczęci ruszamy ochoczo dalej. Widoki w dalszym ciągu są okazałe, jedziemy już głównie po płaskim, z wiatrem w twarz, miejscami silnym. Robimy zakupy w Chambery, gdzie w XV wieku przechowywano relikwię Całunu Turyńskiego.

Chcąc skorzystać z lokalnych dróg, a nie zabłądzić, zaczepiamy parę rowerzystów wracających do swych domów. Dokładnie tłumaczą co i jak, ale nie zalecają pchanie się „na górę” wieczorem, chyba że jesteśmy naprawdę twardzi rowerzyści. Chwilę po ich odjeździe zastanawiamy się chwilę co robić, bo w nogach już prawie 120km, a wygląda na to, że do przełęczki jest około 10km. Decydujemy się jechać aż do zmroku, ale wypatrujemy miejsca na nocleg już teraz. Zaczyna się naprawdę ostry podjazd i po 2km mamy już jego dosyć – czujemy za bardzo w nogach dzień poprzedni. Jest tylko problem z noclegiem – wszystko wokół zabudowane z ogrodzeniami. Żadnego lasu, wysokich krzewów, niczego. Postanawiamy skrócić ostro w bok wąską ścieżynką i najwyżej rozbić się metodą „u gospodarza”.

Po 300 metrach dojeżdżamy do zespołu budynków. Zsiadamy z rowerów i zaczynamy szukać żywej duży. Nikt się nie odzywa, nie wychodzi. Nagle słyszymy szczekanie psów, a zaraz po tym wyłaniają się przed nami trzy sylwetki dorodnych czworonogów, które biegną wprost na nas. Schowanie się za rowerami, obrona pompką, a głównie gazem łzawiącym, który trzymam w sakwie na kierownicy nie wchodzi już w grę z racji tego, że oddaliliśmy się od rowerów kilkanaście metrów. Rośnie przerażenie, nie uciekamy, bo to jeszcze gorzej by było dla nas. W ostatniej chwili, ile sił mam w płucach, krzyczę w stronę psów ostrym tonem. Uspokajają się i mijają nas grzecznie z boku. Przyznam szczerze, że od razu po okrzyku zamknąłem oczy, ręce przyciągnąłem do tułowia i ustawiłem się bokiem do przeciwnika. Otwieram oczy, a tu sukces – psy skulone i rozmawiamy już z innej pozycji. Tymczasem przychodzą gospodynie i uspokajają ostatecznie wszystkie psy. Tłumaczymy co i jak. Opornie, ale jednak zgadzają się na nasz nocleg, jednakże stawiają warunki typu brak ogniska i wczesna pobudka, co nie jest dla nas czymś niezwykłym. Szybko rozstawiamy namioty, bo zaczyna się powoli ściemniać. Odwiedza nas czarnobiałą kot, który usilnie chce nam pomóc w rozstawianiu namiotów – przeganiamy go co chwila, gdyż jego ostre pazurki mogą naprawdę podziurawić tropik bądź podłogę namiotu. Gospodyni przynosi nam 5 pomidorów (oczywiście Kuba szybko zabrał trzy twierdząc, że starszy to i więcej jeść musi ;-), także wodę do mycia i wypicia. Jako, że ciągle z racji pogody czuję się odwodniony tankuję do pełna rzeńskiej wody.

Z naszego wywiadu okazuje się, że natrafiliśmy na stadninę/hodowlę koni, gdzie można z całą rodziną przybyć i pojeździć bądź nauczyć się pod okiem instruktora jazdy konnej. Otrzymujemy ulotki marketingowe, które grzecznie przyjmujemy, ale patrząc na ceny nie jest to tania impreza.

Na kolację jem kanapki z podróbką ukraińskiej drużby ;-)) i zagryzam gospodarskim pomidorem. Na deser funduję sobie ciastka a'la HIT zakupione wcześniej z sieciówki Spar. Aby spełnić oczekiwania Gospodyni co do godziny wyjazdu musimy wstać około 06:30 i 1,5h później wyjechać, bo zaczynają zjeżdżać goście (czytaj klienci), którym widok dwóch obozowiczów raczej nie przypadłby do gustu. I tak o to spędzamy noc u gospodarza. To jest chyba drugi nasz wspólny nocleg u kogoś na podwórku w całej karierze sakwiarskiej – pierwszy nocleg pamiętam jak był u starszej pary niemieckiej w ich przydomowym sadzie.

## **DZIEŃ 5**

**2012-08-21 (wtorek)**

Wstajemy zgodnie z planem, ale wyjeżdżamy 20 minut później niż ustalaliśmy – takie z nas leniuchy. Zostawiamy parę ulotek o Polsce dla potomnych i zaczynamy z powrotem swoją mordęgę pod górę – na szczęście w tych rejonach jeszcze nie wpadli na pomysł wykarczowania lasów i jedziemy otoczeni grubym szpalerem drzew, które dają nam schronienie przed porannym słońcem. Podjazd pnie się przez 9 km – z 300 wjeżdżamy na 980 metrów. Mija nas bodajże ze dwóch kolarzy, którzy o wiele bardziej sprawnie podjeżdżają pod górkę. O dziwo, na przełęczy jestem dobre 10 minut przed Kubą. Czas oczekiwania umilam sobie spożyciem chłodnych jeszcze ananasów w puszcze. Podjazd jest na tyle malowniczy, a z drugiej strony (naszej zjazdowej) także na tyle stromy (średnie nachylenie to 7%, a maksymalne przekracza 10%), że trzykrotnie zawitało w tym miejscu Tour de France. Przełęcz ta zwie się Col'de L'epine.

Zjazd jest, jak już wspomniałem, bardziej stromy, ale równie kręty jak podjazd. Z lewej strony mamy widok na jezioro z wodą w kolorze zielonym. Dalsza jazda idzie mozolnie, mamy kiepską średnią, kolejny dzień upału jest nie do zniesienia tak, że nawet lekkie pagórki robią się dla nas strome. Kuba jest w coraz gorszym humorze, ale pedałuje dalej przed siebie.

Przy jednym z licznych postojów przy marketach (zwykłych osiedlowych sklepów we Francji szukać ze świecą – prócz tych z bagietkami, których jest cała masa) natrafiamy na brata – sakwiarza. Z tego co zrozumieliśmy jest on Marokańczykiem i w trakcie swej podróży nabawił się dolegliwości żołądkowych tak silnych, że trafił do lekarza (zapewne odwodnienie) i teraz ma parę dni przerwy w celu zregenerowania organizmu. Bierze przy nas leki. Jego rower to kolarzówka Focus z czterema bidonami (dwa za siodłem). Jest przy nas bez bagaży, ale to dlatego że w tych dniach nocuje gdzieś u gospodarza, ale i tak nie sądzimy, żeby miał sporo sprzętu ze sobą, bo kolarzówka by tego nie wytrzymała. Nie ma on nawet porządnego noża, tylko scyzoryk i aż nas rozbawia jak próbuje sobie nałożyć tym czymś dżem na bagietkę. Kuba jest na tyle dobroduszny, że mimo jego niechęci w tym dniu do jakiegokolwiek konwersacji (również ze mną) to pożyczca potrzebującemu swego, nie byle jakiego zresztą, noża marki Victorinox.

W Bourgoin-Jallieu zjeżdżamy z czerwonej drogi w lewo, na żółtą, która ma nas doprowadzić przez St Jean do Vienne. Przedtem zatrzymujemy się przy - jakże licznych - zabytkowych (znaczy się minimum 500 letnich) kościołach. W Vienne oglądamy rzymską świątynię Augusta i Livii – jest jakby z innej bajki. Kubie od razu wraca humor, gdyż jest to pierwsza z zaplanowanych, głównie przez Kubę, atrakcji na trasie wyprawy. Kręcimy się trochę po mieście wąskimi uliczkami, które robią na nas wrażenie. Przy takiej architekturze miasto porusza swą lekkością.

Późnym popołudniem wyjeżdżamy z Vienne, oczywiście miasto leży w dolinie, i mozolnie musimy się wspiąć wyżej. Oczywiście znów mnie bierze we władanie niedosyt wody, dlatego uzupełniam u gospodarza dwa litry wody, z czego jeden znów jednym tchem wypijam i jest już lepiej. Kuba jest wyraźnie zrezygnowany całym dniem, a raczej po prostu zmęczony, dlatego mimo chęci zrobienia jeszcze paru kilometrów, postanawiamy szukać miejsca na nocleg. Chcąc zakończyć już ten dzień decydujemy się nie szukać doskonałego miejsca, a jedynie znośnego. Okazuje się, że zaraz za szpalerem drzew i krzewów przy samej drodze jest skromna polanka, a na niej miejsce właśnie na dwa namioty w jeżynowych zaroślach, które zaraz Kuba obskubuje. Rozstawiamy namioty i słyszymy zbliżającą się burzę. Postanawiam skorzystać z okazji darmowego ciepłego deszczu i biorę kąpiel w strugach ulewnego deszczu. Ruch samochodowy jest znikomy, więc przez nikogo nie dręczeni, ale też dobrze skryci, robimy sobie kolację (tym razem u mnie Camembert, do tego na deser porcja witamin: winogrona i gruszka) i idziemy słodko spać.

## **DZIEŃ 6**

**2012-08-22 (środa)**

Już dzień wcześniej na wieczór Kuba komunikuje, że chce się w końcu wyspać (w końcu to przecież urlop!) i tak też robimy. Za to szybko się zbieramy i jesteśmy około 09:20 zwarci i gotowi do dalszych przygód.

Pierwsze 10 km mija mozolnie z racji pagórkowatego terenu, a my jeszcze czujemy dzień spędzony w Alpach. Mijamy miejscowość Rive-de-Gier. Na 23 km robimy sobie zwyczajowo drugie śniadanie będące zazwyczaj efektem nie dojadania z samego rana. Stajemy tym razem w Carrefour (jak już wspomniałem we Francji mnogość marketów jest wręcz niesamowita) i jemy na spółkę 900ml lodów. Dopycham się jeszcze litrowym jogurtem, zresztą jak co dzień, aby pobudzić perystaltykę jelit, która mi siada na takich wyprawach. Banana biorę na drogę jako rezerwę. Temperatura odczuwalna mniejsza o parę stopni niż w dniach wcześniejszych, a nawet widoczne są chmurki na niebie.

Kuba mimo dłuższego spania nie wygląda na pełnego sił – każde wzniesienie pokonuje żółtym tempem, ale sam wiem jak to czasem jest dlatego pokornie czekam na każdym wzniesieniu, bądź jadę tak, aby nie stracić kontaktu z Kubą, czyli jego sylwetki w moim lusterku. W St Chamond zbaczamy w prawo na Montbrison na północny zachód. Wiatr w twarz nie pomaga w jeździe. Dopiero na 58 km robimy przerwę na stacji benzynowej. Kuba próbuje starego sposobu na przyływ energii, czyli mega chłodne napoje z lodówki. Przerwa trwa długo w celu wzrostu motywacji przed dalszą drogą. Dokańczam kiść winogron i jem zakupionego wcześniej banana. Też odczuwam trudy przebytych kilometrów, choć to przecież szósty dzień wyprawy! Najważniejsze, że jak na razie jedziemy zgodnie z planem i tak naprawdę nie ma się czym przejmować i na siłę spinać.

Kuba po wlaniu w siebie lodowatej cieczy siada na rower i do końca dnia nie ma mowy o jakimkolwiek spadku jego formy. Robi się dodatkowo ciut zimniej i zmienia się ukształtowanie terenu na bardziej sprzyjające dla sakwiarzy (czytaj mniej pagórków na zasadzie: zjazd-podjazd-zjazd-podjazd). Dociągamy dobrym tempem do 80 km i zatrzymujemy się pod marketem Aldi. Prócz typowych zakupów muszę zdobyć papier toaletowy, którego nie sposób kupić w napotkanych marketach na sztuki – zawsze cały pakiet, minimum 6 sztuk. Niepotrzebne mi jest tyle, maksymalnie dwie, a szkoda wyrzucać cztery rolki do śmietnika. Postanawiam zrobić z siebie idiotę i staję przy wyjściu ze sklepu i szukam osoby, która zakupiła całą paczkę papieru toaletowego. Kuba z boku przygląda się badawczo, ale po chwili widzę u niego w pełni uzasadniony śmiech pytający: „Co Ty tyle zużywasz tego papieru? Ja jadę na jednej pełnej rolce, a robię to ciut częściej niż Ty!”. Nic na to nie poradzę, a papier zdobyć muszę. W końcu zaczepiam małżeństwo wychodzące z koszem zakupów, w tym z przedmiotem najbardziej przeze mnie oczekiwanym czyli papierem toaletowym. Podchodzę uprzejmie i tłumaczę o co chodzi. Z początku jakby chcieli mnie zbyć, ale że człowiek uparty to nie popuszczam i w końcu wysłuchują mnie i oddają mi za darmo jedną rolkę. Chcę za nią zapłacić, ale nie pozwalają i naprędce się oddalają. Może i przestraszyłem małżeństwo, ale najważniejsze, że skutek jest tego taki, że miałem rolkę papieru toaletowego! Od tej chwili jedzie mi się lżej mając zapewnione zaplecze sanitarne ;-)

Droga robi się naprawdę malownicza mimo, że czasem pod górkę. Na jednym z krótkim postojów celem nabrania wody (podczas tej wyprawy przeszedłem samego siebie w wynajdywaniu kranów przy domach, bo studni nie ma, więc trzeba się ratować takimi chwytami), Kuba oznajmia, że coś mu pyka w przedniej piaście. Rzucam się przerażony do osłuchania piasty. Pykanie faktycznie donośne i potwierdzające moje obawy zgłaszane podczas jazdy, „Coś tam Kuba chyba stuka u Ciebie?” Najważniejsze, że piasta nie ma jako tako wyczuwalnych oporów w toczeniu, ale zapewne mieli już kulki w środku, bo stuki nasilają się. Co ciekawe Kuba zrobił przegląd roweru (w tym smarowanie piast) niedługo przed wyjazdem, więc co u licha! Marka piasty nie jest ekskluzywna, więc też czasem trudno ocenić ich nagły koniec, choć po stanie bieżni dużo przecież widać. Podejrzewamy, że po prostu za mocno skręcili w serwisie i tyle.

Dojeżdżamy do Noiretable, okrążamy kolejny zabytkowy kościół, ale że brakuje nam pożywienia to szukamy otwartego marketu. Niestety jedyny już zamknęli przed godziną. Postanawiamy, że zajedziemy do niego z samego rana i szukamy miejsca niedaleko niego. Zbaczamy w bok i po paru pechowych lokalizacjach (zbyt nierówno, zbyt widoczni z drogi, za blisko domostw) nocujemy na skraju lasu. Na kolację jedynie chińska zupka, a kąpiemy się już prawie po ciemku w litrze wody z bidonu.

## **DZIEŃ 7**

**2012-08-23 (czwartek)**

Budzę się około 07:30. Kuba jeszcze sobie smacznie śpi i kompletnie nie reaguje na próby budzenia. Kręcę się wokół namiotu i mówię lekko podniesionym głosem – nic, głucho. Jakaś tam wrażliwość mam, więc nie będę mu składał namiotu, bo i tak to nic nie da – niech śpi. Zaczynam się powoli pakować. Moja próba pobudki Towarzysza wynika z faktu, że śniadanie jesteśmy zmuszeni zrobić przed Intermarche, który stał się naszym ulubionym marketem po wizycie we Francji ze względu na produkty Top Budget ;-). Nie chcąc stracić całego poranka mamy w planach być przy kasach marketu przed 09:00. Udaje się to prawie pół godziny później. W rezultacie ruszamy najedzeni dopiero przed 10:00.

Jedziemy w kierunku Thiers na zachód, skąd mamy zamiar odbić na północ na Vichy. Na mapie trasa jest oznaczona jako „widokowa”, co okazuje się w pełni uzasadnione. Przejeżdżamy przez przedmieścia Vichy, nie kierując się w stronę centrum, gdyż z przedwyjazdowych badań to prócz znanej wody mineralnej nic tam ma nie być wysoce interesującego. Przy wyjeździe z jednego najbardziej znanych uzdrowisk we Francji, natrafiamy na bardziej nam potrzebny niż woda mineralna sklep sportowy Decathlon. Kuba kupuje w nim całe zaplecione koło przednie za 30 € (to naprawdę nie jest zła cena – obręcz sprawia wrażenie solidnej) oraz lusterko, bo chyba mi pozazdrościł. Ja za to nabywam zapasowy kartusz Campingazu 470g za 7 € tak, aby na 100% gazu nam wystarczyło do końca podróży. Wymiana koła przedniego u Kuby wiązała się ze wspomnianego dzień wcześniej niepokojącego cyklicznego „cykania” – taniej było kupić całe koło niż wymieniać tylko piastę. Jest to wydatek nieplanowany i Kuba płaci za niego kartą. Na szczęście koło na pewno mu posłuży przez kilka wypraw, nie jest to coś co ulegnie destrukcji w przeciągu paru miesięcy. Sprawnie zmieniamy koło na miejscu i ruszamy już w pełni wyluzowani (bo bez „cykania”) w dalszą drogę w kierunku St Pourcain.

Po zrobieniu dwudziestu paru km stajemy w markecie Lidl na małe co nieco. Tak jak i u nas, tak i u nich Lidl jest tani. Już mamy ruszać sprzed sklepu, ale stary wyjadacz Kuba stwierdza analizując pochmurne niebo: "Poczekajmy parę minut dla pewności" i ma rację... W chwilę później wzmaga się wiatr, nadchodzi burza, ale z porządnym gradobiciem – z gradzinami dochodzącymi wielkością do dużych owoców winogron. Nudzimy się przez następne 20 minut pod wiatą sklepową, ale burza jak szybko przyszła tak i odeszła, a po tak długim postoju motywacja do dalszej jazdy znacząco wzrosła. W St Pourcain skręcamy w lewo pod kątem 90 stopni i kierujemy się do Montmarault, do którego godzinę później dojeżdżamy.

Miejsca do siódmego noclegu wypatrujemy dość długo – teren wokół drogi jest całkowicie odgradzony drutami kolczastymi, dodatkowo brak jakichkolwiek zadrzewień. Parę razy chybimy i w końcu śmiało wjeżdżamy wąską polną drogą w głąb takich pól, mając na horyzoncie zbliżającą się burzę. Długo debatujemy, w którym miejscu się rozkładać i w końcu postanawiamy, że to będzie po prostu na drodze polnej, która i tak nie wygląda na uczęszczaną ze względu na rozrzucone na niej grube gałęzie. Nawet jeśli by traktor chciał z rana przejechać to wybieramy miejsce na tyle szerokie, że da radę bez problemu. Chwilę po zaczęciu rozstawiania namiotów pojawiają się na horyzoncie dwa psy – biegną dość leniwie w naszą stronę. Szybko znajduję gaz łzawiący, ustawiamy rowery w poprzek, znajdujemy jakieś badyle do walki i czekamy co się wydarzy. Psy nagle stają w odległości ok. 50 m od nas. Udajemy, że się nimi nie interesujemy. Takie zachowanie przynosi rezultat – psy zawracają, co chwila tylko się oglądając czy przypadkiem ich nie gonimy ;-)

Po rozbiciu miniobozowiska bierzemy kąpiel, a na kolację pałaszuję makaron z tuńczykiem (wynik braku obiadu) i popijam herbatą z croissantem. Dopycham się jeszcze ciastkami i idziemy smacznie spać. Burza mija nas ostatecznie bokiem, więc nawet kropelką nie moczy naszych „drogocennych” namiotów.

## **DZIEŃ 8**

**2012-08-24 (piątek)**

Pobudka ok. 07:30. Ruszamy prawie 2h później. Z rana obawiamy się jeszcze psów, ale ani widu ani słyhu. Pogoda pierwszy raz na wyprawie mało obiecująca – miejscami kropi.



Paręnaście km później zwiedzamy zabytkowy kościół z ok. XII-XIII wieku – wszystko w środku doskonale odrestaurowane/zachowane. Zawsze w każdym kościele jesteśmy sami – aż dziw bierze, że nie mijamy żadnych pielgrzymek lub czegoś podobnego. Mijamy Montlucon i kierujemy się na północny-zachód.

Następnie natrafiamy po drodze na z daleka widoczny zamek, więc mało co zbaczając z trasy podjeżdżamy pod jego bramę. Brama jest trochę uchylona, więc nie zastanawiając się przypinamy rowery przed wejściem, a sami wchodzimy do środka. Nikt nas nie zaczepia, zwiedzających jak na lekarstwo. Zamek oglądamy jedynie z zewnątrz. Jego wielkość jest przedsமாகiem zbliżającej się Doliny Loary. Całe zwiedzanie zajmuje nam niespełna kwadrans. Dopiero po tym jak siedliśmy z powrotem na rowery, zauważyliśmy tabliczkę informacyjną o kasach i informacją, że wejście kosztuje 8 €. Zapewne w tej cenie byłoby zwiedzanie środka zamku i opieka przewodnika, ale i tak byśmy z tego dużo nie wynieśli, a tak chociaż za darmo, trochę na bezczelnego, udało nam się popstrykać parę fotek zamku ☺

Kilometr dalej znowu napotykamy zabytkowy kościół z przełomu XIII-XIV wieku. Ile oni tego mają? W międzyczasie Kubę gnębią problemy żołądkowe. Na szczęście dysponujemy węglem i po paru godzinach jest już lepiej. Nagłe odwodnienie nie byłoby wskazane w takich warunkach. O tyle dobrze, że nie ma upału, który by jeszcze pogarszał sytuację. Są za to męczące pagórki, a zachmurzenie 6/8 okt. Późnym popołudniem się wypogadza, ale silny wiatr pozostaje. Mijamy większe miejscowości Culan, Chateameillant oraz La Chatre.

Stajemy na zasłużony obiad, w menu tortellini. Długo gotująca się woda pozwala w moim przypadku na dokładne ogolenie się, a Kuba zaczytuje się w czasopiśmie wziętych jeszcze z Polski. Po obfitym obiedzie robimy krótką sjęstę. Kuba jeszcze męczy się w krzakach, ale czuje się na tyle dobrze, że bierze swój „steryd” – be power z Biedronki, czyli tabletki musujące z tauryną i kofeiną do rozpuszczenia w wodzie. Prawdziwy koktajl, ale na Kubę to działa. Kwadrans później Kuba dostaje zastrzyk mocy, który starcza mu już do samego noclegu – podjeżdża pod pagórki jeszcze przyspieszając, niejednokrotnie zostawiając mnie w tyle i zmuszając do ostrego wysiłku. Mimo męczarni z mej strony, cieszę się, że Kuba odzyskał formę.

Dobre tempo pozwala nam na zrobienie przed szarówką jeszcze ponad 30 km, dojeżdżając prawie do Chateauroux. Rozbijamy się na polanie, zasłonięciu krzakami, w zaułku, z dala od drogi. Widoczni jesteśmy tylko przez moment z małego mostku nad rzeką Indre oddalonego o dobre 300 m, więc przez nikogo nie dręczeni idziemy spać, ówczesnie biorąc kąpiel, jak zwykle, w wodzie z bidonów.

Tego dnia nic szczególnego się nie dzieje, więc i opis dnia jest nad wyraz skromny.

## **DZIEŃ 9**

### **2012-08-25 (sobota)**

Wstajemy wcześniej niż zazwyczaj, bo o 07:00, a o 08:40 jesteśmy już w drodze. Kierujemy się w dalszym ciągu na północny-zachód w kierunku Buzancais. Poszliśmy spać wcześniej, spaliśmy dłużej i czujemy się wypoczęci. Po 10 km zaczyna ostro wiać z boku lub z ukosa w twarz, z nagłymi porywami. Praktycznie wieje tak cały dzień.

Przez te 8 dni jazdy ani razu nie dopadł mnie kryzys spowodowany zmęczeniem (prócz oczywistego w Alpach), i w końcu dziewiątego dnia jazdy musiał. Jazda stanowi mordęgę. Kuba za to jakoś ciągnie. Jesteśmy zmuszeni jechać wąskimi drogami bez pobocza – klasy czerwonej. Ruch jest spory, ale Francuzi jeżdżą naprawdę ostrożnie i nie mamy żadnej niebezpiecznej sytuacji. Miejscami kropi deszcz, a czasem widzimy w oddali przechodzącą burzę.

Na jednym z postojów na przytulnej ławeczce w małym miasteczku, Kuba postanawia wyczyścić swój napęd w rowerze. Spośród wielu uzdolnień, które posiada Kuba, zabrakło tych technicznych, a raczej dbałości o sprzęt zanim się jeszcze popsuje. Podczas czyszczenia i smarowania łańcucha na twarzy Kuby widać wręcz niechęć do wykonywanej pracy. Śmiem twierdzić, że nie widzi w tym nawet sensu – przecież jeszcze nie piszczy. Sam zaglądam w jego napęd i moim zdaniem to istna katastrofa – tony starego smaru na kółkach przerzutki, łańcuch suchy jak wiór, jednakże Kuba twierdzi, że sprzęt jest po to, by go używać, a nie po to by się z nim pieścić. W sumie mam podobne zdanie, jednak dbam ciut bardziej o swój sprzęt. Przypomina mi się

sąsiad z bloku, który na me pytanie dotyczące zakupu nowego samochodu z dieslem dotyczące jego awaryjności stwierdził, że z dieslami jest jak z kobietą: należy długo je rozgrzewać ;-). W sumie to racja, ale co mają powiedzieć właściciele starych diesli? Przecież żadna kobieta Ci nie powie o poprzednikach prawdy ;p

Niedługo potem odwiedzamy Carrefour po jogurt i bułki. Jedziemy drogą czerwoną – duży ruch i non stop pagórki, które dają nam w kość. W końcu udaje nam się zboczyć na żółtą drogę lokalną, która jest także nad wyraz urokliwa, jednakże niezasobna w sklepy. Musimy nadrobić 1,5 km, aby trafić do sklepu SuperU (specjalnie notujemy nazwy, aby móc stwierdzić, że byliśmy we wszystkich rodzajach marketów ;-)), gdzie nabyliśmy kaszę z parówką w słoiku za 0,83 €. Po zagotowaniu wody już na postoju, okazuje się, że to nie kasza gryczana a soczewica, na którą Kuba jest uczulony. Nie powiem, że nie jest przyjemnie zjeść cały obiad, bo bym skłamał. Biedny Kuba zjada jedynie kawałki parówek i opycha się bagietką.

Jakiś czas po ruszeniu w trasę widzimy, pierwszy raz we Francji, pastwiska z krowami! Na Ukrainie wręcz ciężko jest uciec od tego widoku, a tutaj trzeba szukać ze świecą. Wszystko poszło w mechanizację i przemysł zagrodzony w czterech ścianach.

Późnym popołudniem natrafiamy, trochę przez przypadek, na bardzo ładne miasteczko, które oczarowuje nas piękną, starą zabudową. Nazwy nie pamiętamy, ale parę kilometrów od niego znajduje się miejscowość Luzillé, 30 km na południowy wschód od Tours.

Dziewiąty nocleg wypada w sztucznym lesie (wiemy, wiemy, wstyd, ale innego nie ma) we wsi Chenonceaux. Do brzegów rzeki Cher dzieli nas 250 metrów. Zaszywamy się stosunkowo głęboko w las, ale jak jest on posadzony pod linijkę, to ciężko też się ukryć. Podczas rozstawiania namiotów zauważamy w oddali kręcących się ludzi, którzy nas z początku nie zauważają. Okazuje się, że także mają zamiar rozbić się na dziko, niedługo potem to czynią. Jednakże ich sposób noclegu diametralnie różni się od naszego – pół nocy tańczą i grają muzykę. Oczywiście kulturalnie przychodzą do nas i się przedstawiają, ale rozmowa się nie klei, bo zbierają chrust na ognisko. Kuba jest tym faktem poruszony, że taki duży las, a oni musieli akurat tak blisko się rozbić (ok. 200 m, ale hałas się łatwo rozchodzi w mało gęstym lesie). Staram się to zbywać śmiechem, że pierwszy raz na wyprawie mamy towarzystwo. Może nie takie jakie sobie wyobrażamy, ale zawsze to przygoda. Jedyne o się obawiamy, że głośne towarzystwo przyprowadzi na nasze barki policję, ale na szczęście tak się nie dzieje.

Bierzemy kąpiel – z racji trudnego dostępu do rzeki, ponownie myjemy się z butelki. Zajadamy się bagietką z marmoladą, popijamy gorącą herbatką (a co tam, luksus musi być!) i kładziemy się grzecznie spać.

## **DZIEŃ 10**

### **2012-08-26 (niedziela)**

Głośne biwakowanie daje nam się we znaki i budzimy się dopiero o 07:40. Słyszę muzykę do ok. trzeciej w nocy z przerwami. Aż dziw bierze jak różnie może wyglądać nocleg na dziko. Skąd oni mieli tyle prądu!? Kuba ratuje się oczywiście zatyczkami do uszu, mi niestety jest dane słuchać przebojów francuskich ☺ Po skromnym śniadaniu pakujemy się i ruszamy w dalszą drogę dopiero o 09:20.

Okazuje się, że do zamku w Chenonceau dzieli nas raptem 2km. Wejście do zamku otwarte zostało o 09:00, a mimo to już tłumy oblegają ten zabytek. Zostawiamy rowery na parkingu rowerowo-motocyklowym i kierujemy się do kas. Bilet kosztuje 11 €, ale po to przecież tu przyjechaliśmy. Bez opłaty niczego byśmy nie widzieli, gdyż główne dojście do zamku ciągnie się przez kilkaset metrów wśród wysokich platanów. Dla oszczędnych jest możliwość zobaczenia z boku i od tyłu zamku i ogrodu. Po drugiej stronie rzeki zauważamy biegacza beztrósko truchtającego, czyli są inne możliwości. Przy wejściu dostajemy przewodnik w paru językach, w tym po polsku. Zwiedzających jest bardzo dużo, głównie narodowości azjatyckiej. Spędzamy w nim bite 1,5h, rozkoszując się widokami i robiąc dużą ilość zdjęć. Nie sposób tego opowiedzieć, dlatego odsyłam do zdjęć, które okrasilem bogatym opisem. Godnym podkreślenia jest fakt, że zamek Chenonceau jest, zaraz po Wersalu, najbardziej obleganym przez turystów zamkiem francuskim (około miliona zwiedzających w skali roku)!

Przy wyjściu natrafiamy na parę sakwiarzy, przy czym kobieta dzielnie wyczekuje na męża pilnując obydwu rowerów. Niesamowite jest jednak to, że rower wyprawowy nieobecnego sakwiarza jest mało popularnie skonstruowany – posiadał zamiast łańcucha pas napędowy, zamiast bidonu 4 litrowy baniak z wodą, a jego całkowita „wyporność” wodą wynosiła ponad 5 l cieczy. Widocznie małżonka lubiła się porządnie wykąpać ;-)

Z Zamku Dam kierujemy się do położonego 40 minut drogi zamku w Amboise. Obiekt robi na nas nieporównywalnie mniejsze wrażenie. Zastanawiamy się przy wywieszonym cenniku czy wejść i w końcu rozsądnie rezygnujemy. Kolejne kilkanaście euro to sporo, a mamy nadzieję, że kolejne budowle będą bardziej dostępne finansowo, jak i bardziej atrakcyjne. Robimy parę zdjęć zamku położonego obecnie w centrum miasta. Niedługo potem ruszamy w dalszą drogę wzdłuż najdłuższej rzeki we Francji – Loary (z franc. Loire). Po parunastu kilometrach dojeżdżamy do kolejnego zamku (w Dolinie Loary znajduje się około 300 średniowiecznych i renesansowych zamków oraz pałaców!) w Chaumont. Zniesmaczeni widokiem poprzedniego zamku z zewnątrz chcemy zbadać czy w ogóle warto do niego wchodzić. Próbujemy prześlizgnąć się bokiem, przez gęste zarośla, ale w końcu kończy się to porażką – zamek widoczny jest tylko na fotografii przed wejściem do kas i takim też dla nas niestety pozostał. Zamek, a raczej pałac nie miał dostatecznie surowych form, aby nas zachęcić do wydania kilkunastu euro. Napiszę szczerze, że osobiście byłem zdziwiony takimi kosztami wejścia do obiektów – sądziłem, że przy takiej liczbie turystów oraz jakby nie było systematycznym remontom obiektów, koszty będą znacznie niższe. Nikt mi nie powie, że nawet dla Francuzów koszt kilkunastu euro to nic nie jest. Chcąc obejrzeć 10 zamków w Dolinie daje to kwotę ok. 150 € !

Korzystamy z dobrej pogody, braku pagórków i wiatru w plecy i szybko dojeżdżamy do miejscowości Blois, gdzie dane jest nam ujrzeć wnętrze XVI wiecznej katedry. Prócz ciekawych obiektów szukamy w Blois także marketu, ale okazuje się, że w niedzielę są one otwarte do 12:30. Kupujący szanują sprzedających – jest to pewna uciążliwość dla chcących nabyć dobra w tym dniu, ale widocznie wszyscy są już przyzwyczajeni, że robi się większe zakupy wieczorem w dni powszednie lub w soboty. Godnym uwagi jest to, że we Francji za ateistów uważa się według różnych badań od 15% do ponad 30% mieszkańców, którzy przecież nie mają zakazu odpoczywać w dzień święty. W Polsce katolików mamy ponad 90% i jest głębokie zniesmaczenie jak jest sklep w niedzielę zamknięty, a w galeriach w weekendy tłumy jak na obchodzie 1 majowym. Dojrzałość społeczna czy zachłyśnięcie się konsumpcją?

Ostatecznie w Blois znajdujemy sklep z bagietkami, gdzie przezornie, mimo wysokiej ceny (1 €), jedną kupuję. Kuba wierzy w kapitalizm i czeka na otwarty sklep. Szukamy jeszcze zamku w Blois, ale po krótkich poszukiwaniach dajemy sobie spokój – jakby był monumentalny to byłoby go widać ;-)

Przejeżdżając przez jedno z wielu miasteczek nagle krzyczę do Kuby: „Stój, stój, chyba otwarty sklep!” Dajemy po hamulcach i mam rację – skromny osiedlowy sklepik jest otwarty. Kupujemy prowiant na cały dzień – ser pleśniowy, pomidory, chleb (niestety a’la słodkie pieczywo), parówki i ciastka. Ceny są wyższe o około 20% od marketowych (ale u nas zazwyczaj też tak jest), ale nie mamy co wybrzydzać, bo okazało się później, że był to jedyny otwarty sklep tego dnia.

Wiatr w plecy i dobra droga pozwala nam na trzymanie średniej prędkości 24 km/h i „odrabiamy” w ten sposób późną pobudkę i poranne zwiedzanie. Stajemy w McDonalddie na ładowanie komórek (a raczej super nowoczesnej komórki-komputera Kuby ;d), przy okazji biorąc coś skromnego na ząb.

Jedziemy na Orleans wzdłuż rzeki ścieżką dla rowerów i biegaczy. Asfalt przeplata się ze zwiem. Co mnie dziwi to, że rzeka nie jest uregulowana – rzadkość w krajach zachodnich. Pełno jest małych wysepek na rzece, a po bokach lasy. U nas to zieleń ostatnio wycinają, bo będzie przeszkadzać fali powodziowej spływać. Niesamowite rozumienie tematu. A to, że woda nie ma gdzie po prostu wsiąknąć po deszczu to nikt nie pomyśli. Jak mawiał mój były szef – ridiculous (z ang. absurdalny, żalorny).

Wzdłuż Loary podążamy tego dnia około 40km – droga jest poprowadzona prosto jak według linijki. Trochę już zmęczeni dziennym dystansem, jak się później okazało najdłuższym

podczas tej wyprawy, szukamy wody na noc, ale nie znajdując żywej duszy, decydujemy się na wejście na posesję (brama jest otwarta) i nikogo nie pytając bierzemy wodę z ogrodowego kranu. Parę kilometrów dalej mimo sprzyjających warunków do dalszej jazdy decydujemy się na nocleg w przydrożnym lesie, zaraz za miejscowością Mardie. Fajne miejsce znajdujemy nieopodal małego oczka wodnego – bagienka, wokół którego widniały ślady kopyt zwierząt. Jednakże żadne zwierze nas nie odwiedza i czujemy rozczarowanie. Dziesiąty nocleg przebiega w spokoju. Tego dnia porządnie bolą mnie wieczorem plecy, a konkretnie łopatki - od statycznej sylwetki po całym dniu, ale że to nie pierwszy raz na wyprawach, to słodko zasypiam wiedząc, że jutro rana ból zniknie...

## **DZIEŃ 11**

### **2012-08-27 (poniedziałek)**

Budzimy się o poranku zgodnie z planem – ok. 07:00, ale tak się mozolnie zbieramy, że wyruszamy dopiero o 08:40. Na szczęście znów lekki wiatr w plecy, pogoda słoneczna to i banan na twarzy od rana. W planach mamy Kościół (Oratorium) Germigny-des-Prés, do którego trafiamy stosunkowo szybko. Zabytek ten został wniesiony w 806 r. n.e.! Obiekt naprawdę robi wrażenie – jest nietuzinkowy, ale też nie jest tak komercyjny jak zamki w Dolinie Loary. Mimo to rocznie odwiedza Kościół ok. 100 tys. turystów (my jakoś na żadnego nie trafiliśmy), podczas gdy samo Germigny-des-Prés liczy 457 mieszkańców! Odsyłam z przyjemnością do galerii zdjęć z dokładnymi opisami – naprawdę warto. Trzeba oczywiście zdawać sobie sprawę, że wygląd budynku zmieniał się diametralnie na przestrzeni 1200 lat – podlegał rozbudowie, modyfikacjom, jednakże najstarsza jego część – fundamenty stoją do dzisiaj.

Kierujemy się w dalszym ciągu wzdłuż Loary mało uczęszczaną „żółtą” drogą. Przez te paręnaście kilometrów „cofamy się”, gdyż jedziemy w kierunku południowo-wschodnim. Krajobrazy są przepiękne, a jedzie się równie dobrze jak z rana. Dojeżdżamy szybko do Saint-Benoît-sur-Loire – opactwa benedyktyńskiego, założonego w 651 r. n.e. To tutaj złożono w 672 r. relikwie św. Benedykta z Nursji, o którym tak wiele dobrego słyszałem podczas Antysylwestra 2011/2012 w Klasztorze w Tyńcu. Spędzamy w nim ponad godzinę, napawając się widokiem wnętrza, krypt i sklepień. Wartym podkreślenia jest fakt, że to był jedyny kościół, który „żył” – widzieliśmy paru przechadzających się Benedyktynów, a jeden z nich nawet przez krótki okres grał na klawiaturze muzycznej.

Niedługo później dojeżdżamy do kolejnego zamku na trasie w Sully-sur-Loire, pochodzącego z końca XIV wieku. Zamek w stylu twierdzy, zbudowany w strategicznym skrzyżowaniu rzek. Chcemy do niego wejść, liczymy już eurosy, bo czujemy, że warto, ale tu zonk – prowadzony jest remont mostku, a naszym zdaniem raczej jego gruntowna budowa prawie od początku. Nie mylić z estetyzacją Dworca Wschodniego w Warszawie ;-)

Szybka jazda i brak możliwości zwiedzania zamku oraz brak konkretnych planów na resztę dnia postanawiamy wykorzystać na gruntowne pranie ubrań w Loarze. Zejście jest długie i piaszczyste, ale że kończą nam się już czyste ubrania to motywacja jest ku temu ogromna. Pierzemy w rękach z dobrym kwadrans – nie ma nigdzie niestety gorących kamieni, co też wymusza kombinowanie z suszeniem już wypranych ubrań. Udaje nam się wszystko wyprać i teraz tylko mocujemy wszystko na rowerach, co zawsze wygląda uroczo – majtki, skarpetki, koszulki, spodenki przytwierdzone po wszystkich stronach zabawnie dyndają w rytm powiewającego wiatru.

Temperatura na rower praktycznie wymarzona – nie ma upału, ale jest ciepło. Kierujemy się prosto na północ na Bellegarde. Udaje nam się wybierać drogi lokalne o małym natężeniu ruchu. Mijamy co i raz małe i urocze francuskie miasteczka – jakże inne od dotychczas mijanych. Większość z nich jest zadbana – wszędzie kwiaty, strojenia. Być może wynika to z jakiegoś lokalnego święta, całość pięknie się komponuje. Na obiad zatrzymujemy się w InterMarche zakupując 800g kapusty z parówkami, która miała być makaronem z kiełbasą. Obrzydliwe, ale się najedliśmy, choć na brzuchu ciążyło. Najważniejsze, że Kuba nie ma uczulenia na kapustę i parówki.

Wracamy z powrotem na drogi lokalne, co niestety powoduje, że błędzimy. W międzyczasie Francuzi wybudowali sobie kolejną autostradę zmieniając kompletnie układ dróg w regionie. Brak

zabudowań nie pozwala na jakiegokolwiek zdobycie informacji. W końcu mijamy dwójkę starszych pieszych, którzy naprowadzają nas na słuszny kierunek drogi.

W ostatniej miejscowości przed Lasem Fontainebleau (od dziesięcioleci jeden z głównych ośrodków wypoczynku weekendowego mieszkańców aglomeracji paryskiej) stajemy na pobór wody. Otwiera nam starsza kobieta, ale nie sposób jest się dogadać, więc wzywa ona posiłki – przychodzi mąż z żoną (zapewne jej córka). Przez te kilkanaście dni jazdy nie wachaliśmy ani razu żadnej perfumy – po takiej abstynencji sztuczny zapach żony był czymś niesamowitym. Wody otrzymaliśmy pełne zaopatrzenie – jeszcze na miejscu się napiliśmy. Dodatkowo podkreślono nam, że w lesie przed nami jest bardzo sucho i żeby nie rozpalać ogniska. Państwo wykazują się dużym doświadczeniem, bo nic nie mówimy o noclegu w lesie, choć łatwo jest się domyśleć analizując nasze stroje i wygląd ;-)

Robimy jeszcze parę kilometrów i skręcamy w boczną drogę w las. Przejeżdżamy ze 100 metrów, odbijamy następnie w lewo i pierwsze lepsze miejsce wybieramy na swoje miniobozowisko. Rozbiwszy już namioty dopiero zauważamy jak blisko się rozbiliśmy szosy, na której co prawda ruch znikomy – jeden samochód na parę minut, ale zawsze dla wnikliwego oka możemy być widoczni. Poczujemy się, że to ze zmęczenia, a nie ma się czego obawiać, bo las jest stosunkowo gęsty i trudno w nim wypatrzeć jakiegokolwiek „anomalie” w postaci zielonych namiotów sakwiarzy.

Bierzemy kąpiel przed snem (standardowo woda z bidonu), Kuba nawet się goli. Na kolację bagietka z serem pleśniowym ulubionej marki Top Budget 1,40 € za 350g z pomidorem.

## **DZIEŃ 12**

### **2012-08-28 (wtorek)**

Pobudka i wyjazd – jak zwykle. Po 10 km dojeżdżamy do Pałacu Fontainebleau. Zwiedzamy tę rezydencję około 2h, a wiercie nam, że jest co. Teren jest ogromny – sam park liczy 80 hektarów. Z ciekawszych rzeczy można odnotować, iż w rezydencji urodzili się Henryk III, Ludwik XIII i Filip IV. Z najważniejszych rzeczy dotyczących tego obiektu można wymienić jej renesansowo-manierystyczny wygląd, który w naszej części Europy był stosunkowo rzadki. Więcej informacji wpisanych zostało jako opis zdjęć z wyprawy, więc w relacji daruję sobie przybliżanie historii tegoż obiektu.

Z pałacu kierujemy się do centrum miasta Fontainebleau. Ciekawszych rzeczy nie widzimy, zatem stajemy standardowo przy Lidl'u na skromne zakupy. Szukam nerwowo papieru toaletowego w mniej niż 6 kostkach, ale nie znajduję. Niedaleko stoi Carrefour, w którym znajduję dwukrotnie droższy i dwa razy mniejszy papier toaletowy (za ponad 2,70 €), ale za to szary, a nie w kolorowanki. Dwie rolki pakuję do sakw, jedną zostawiam przy markecie jakby kogoś przyszpiliło ;-). Szczęśliwy ruszamy dalej.

Jedziemy z wiatrem w kierunku północno-wschodnim przez co kilometry połykamy w isticie ekspresowym tempie. Dojeżdżamy do kolejnej planowanej atrakcji - zespołu pałacowo-ogrodowego w Vaux-le-Vicomte, wzniesionego 400 lat temu. Jak twierdzą przewodniki, obok Wersalu jest najwybitniejszym XVII-wiecznym zespołem parkowo-pałacowym we Francji. Także cena wejściówki do niego jest „wybitna” – 16 €! Pozostaje nam go obejrzeć z zewnątrz, ale że ogród przed głównym wejściem spory to i mało co widzimy ☹ Ruszamy z powrotem w takim razie. Kubie udaje się zrobić bardzo fajne zdjęcie typu „w drodze” nr 395 w galerii.

Na obiad fundujemy sobie kurczaka z rożna za 7 € na dwie głowy – jakoś nie chce nam się niczego przygotowywać. Do tego ketchup i pomidory i po pół godzinie jesteśmy syci i gotowi do dalszego zwiedzania.

Większą część dnia udaje nam się przejechać bocznymi drogami. Późnym popołudniem nadkładanie drogi zwraca się w 100% - udaje nam się zobaczyć sporego silosa w jednym z małych francuskich miasteczek. Myślimy sobie – w końcu jakiś swojski, ukraiński widok ;-). Bierzemy wodę do noclegu w jednym z pobliskich domów w miejscowości Vauchamps i niedługo potem nocujemy w minilesie z podejrzaną krętą drogą, wijącą się przez niego. Decydujemy się zanoć na samej drodze – jest stosunkowo szeroka i nie widać, aby była uczęszczana, jednakże nie na tyle,

aby droga mogła zarosnąć. Żarliwie dyskutując i śmiejąc się kładziemy się spać po dość wyczerpującym dniu.

## **DZIEŃ 13**

**2012-08-29 (środa)**

Po spokojnej nocy budzimy się wypoczęci. Nikt nie przejeżdżał, nikt nie zaczepiał – cisza i spokój. Może trochę nierówno pod plecami, ale o wygodę nam nie chodzi. Kuba postanawia z rana pójść za potrzebą i oddala się na bezpieczną odległość krętą drogą. Po paru minutach wraca i z grobową miną oznajmia, że napotkał psa i to podczas „finału”. Trochę go to przeraziło, bo bronić się nie miał czym, zresztą poza, którą przybrał nie miała cech obronnych ;-). Zastanawiające jest to, że pies (dosyć spory, czarny) nie okazał zainteresowania Kubą, przeszedł obok i oddalił się w głąb lasu. Widocznie pies był kulturalny i nie chciał przeszkadzać w higienie. W przeciwnym wypadku na pewno by Kubę zjadł na śniadanie ;-)

Po godzinie jazdy docieramy do miejscowości Orbais, gdzie natrafiamy na Kościół św. Piotra i Pawła, który wzbudza nasz podziw. Budowla ta jest nieco starsza niż standardowy zabytek we Francji – liczy sobie ponad 700 lat. W środku kościoła aż pachnie starością. Oczywiście w kościele jesteśmy sami, tak zresztą jest praktycznie w każdym budynku sakralnym we Francji – zapotrzebowanie na tego typu obiekty się tam skończyło. Trudno jednoznacznie stwierdzić, iż ludzie zmienili wiarę czy też zrezygnowali z posłannictwa „pośredników” jakim są kapłani. Jedną z ciekawszych rzeczy, które tam ujrzeliśmy są podłokietniki ław w kształcie trupich czaszek. Kubę jakoś odciągają od podziwiania kościoła i po zostawieniu naszych polskich ulotek przy wejściu do budynku (znajdują się tam też inne ulotki turystyczne) ruszamy w dalszą drogę, w dalszym ciągu na północny-wschód.

Wjeżdżamy do regionu Szampania-Ardeny. Mijamy bez zwiedzania miasto Epernay i dość ruchliwą trasą kierujemy się na Reims, gdzie czeka na nas zabytek klasy „zerowej”, czyli gotycka Katedra pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny. W tym miejscu ponownie odeślę do galerii, gdzie praktycznie każde zdjęcie tegoż obiektu jest niesamowite, a dla ciekawskich opatrzyłem je bogatymi komentarzami. Aby zachęcić do przyjazdu do Reims przyznam się, że w momencie gdy Katedra wyłoniła się zza zakrętu (była przysłonięta innymi budynkami) aż przysiadłem z wrażenia.

Zwiedzaniu poświęcamy dobre 1,5 godziny. Ruszamy w dalszą drogę w kierunku wschodnim, przy czym 20km odbijamy na północny-wschód na Machault. Napotykamy sporo czynnych minielektrowni wiatrowych. To też odczuwamy na swoich barkach, gdyż czasem silnie wieje. Mijamy miejscowości Mazagran oraz Bourcq, gdzie dane jest nam zapamiętać, rzucający się w oczy, dość okazały stromy pagórek. Po powrocie do domu niestety znajdujemy tylko informacje, iż było to to średniowieczne wzgórze, nic więcej.

Z racji braku czasu syty ciepły obiad zastępujemy suchą bagietką z dżemem. Przejechawszy tego dnia ponad 120 km bierzemy wodę z gospodarstwa (kompletny brak zaufania i gościnności u Francuzów prawie za każdym razem – jakbyśmy im całą wodę mieli ukraść!) i kilkaset metrów dalej znajdujemy ciekawe miejsce na nocleg. Wypada on zaraz za rozwidleniem dróg za miejscowością Vouziers w kierunku Stenay. Zakryci jesteśmy szpalerem drzew i ukształtowaniem terenu z jednej strony, a z drugiej starym składem drewna na wysokość prawie 2 m. Kąpiemy się przez nikogo nie dręczeni, jeszcze łapiemy trochę promieni słonecznych. Na kolację standardy – camembert (po powrocie do Polski zacząłem jeść sery pleśniowe, o zgrozo!) i parówki.

## **DZIEŃ 14**

**2012-08-30 (czwartek)**

Trzynasty nocleg mija spokojnie – samochodów praktycznie nie słychać, bo droga poprowadzona w zagłębieniu nie pozwala na wdarcie się hałasowi w głąb lasu. Ruszamy o 09:20. Trochę górki z rana idzie jak śmietana z racji lekkiego wiatorku w plecy. Pogoda nie rozpieszcza, ale tragedii nie ma.

Szukając marketu natrafiamy na prawdziwe pastwisko z krowami – co za rzadko widok we Francji. Krowy inne niż w Polsce – całe koloru śmietankowego. Nawet okazuje nam

zainteresowanie przybliżając się do ogrodzenia i wpatrując się w nas, ale my nie tacy łatwi z Kubą na zaczepki i udajemy się w swoją stronę.

W InterMarche spotykamy dwóch miejscowych minisakwiarzy. Mini z racji skąpego bagażu. Rozmowa się nie klei – oni wyglądają na zmęczonych, a my chcemy w spokoju zjeść drugie śniadanie.

Tego dnia dane jest nam się mierzyć ze sporą ilością pagórków, przy czym wiatr przestaje nam już pomagać. Na szczęście droga klasy czerwonej nie jest zbyt uczęszczana i możliwość rozmowy urozmaica trudy drogi. Dojeżdżamy do Belgii i po kilkudziesięciu km stajemy na porządny obiad, czyli makaron i dwie konserwy z tuńczykiem w oleju. Niedługo potem wjeżdżamy do Luksemburgu mającego najwyższe na świecie (po Liechtensteinie) PKB na głowę mieszkańca. I te pieniądze widać – niska, willowa zabudowa, wyszukana architektura. Co ciekawe, 60% energii elektrycznej jest pozyskiwana z hydroelektrowni.

Wieczór się zbliża, my nie mamy skąd wziąć wody, a nie chcemy wjeżdżać do miasta. Pchamy się w osiedlową uliczkę, gdzie przy jednej z willi natrafiamy na mężczyznę. Okazuje się, że może się z nami porozumieć, ale tylko po niemiecku lub francusku, co nam zbytnio nie pomaga. Na migi jakoś się dogadujemy, ale on zamiast dać nam wody, idzie zapukać do drzwi wejściowych willi. Drzwi otwiera kobieta po 30-stce. Tłumaczy jej przez chwilę czego chcemy. Przywołuje nas i niedługo potem mamy już pełno wody w bidonach. Okazało się, że ten mężczyzna to robotnik w tej willi, stąd takie a nie inne jego zachowanie. Swoją drogą mimo naszej odmienności zostaliśmy potraktowani całkiem miło i bez żadnych uprzedzeń.

Parę kilometrów za miejscowością Dippach zjeżdżamy z głównej drogi i skręcamy w kierunku lasu. Natrafiamy na szlaban i informację, iż jest to las z certyfikatem FSC. W skrócie oznacza to, że las ma swojego zarządcę, ale po co naturze zarząd? Zauważamy dość świeże ślady opon pojazdu terenowego i budkę dla leśników – na szczęście nikogo w niej nie ma. Szybko postanawiamy skierować się w głąb lasu i się ukryć. Las nie jest gęsty, ale z jednej strony przecięty sztucznym kanałkiem, który definiuje nasze poszukiwania noclegu z drugiej strony drogi. Parokrotnie na zmiany chodzimy na zwiady w zarośla – w końcu wybieramy najlepszą opcję z możliwych. Pcham się tam z rowerem w zarośla, a Kuba zostaje na drodze i mam mu dać po cichu znać jak dojdę do wyznaczonego punktu to wtedy on sprawdzi czy nie będzie nas widać z drogi po rozbiciu. Miejsce okazuje się w miarę dobre, tzn. nas praktycznie nie widać z drogi, za to my możemy spoglądać na drogę. Dodatkowo Kuba na ochotnika idzie dalej w zarośla chcąc zbadać teren z drugiej strony. Nie chcemy mieć niespodzianek w ostatni nocleg, a tutejsi leśnicy na pewno potrafią wystawić srogie kary w euro.

Godzinę potem możemy już wypróbować naszą „niewidzialność”, gdy drogą przejeżdża rowerzysta w odblaskowej kamizelce. Na szczęście nie zauważa nas mimo, iż zauważamy go w ostatniej chwili i nawet nie przyciszamy głosu zawczasu. Szybko nadchodzi szarówka, a po niej ciemność. Śpimy twardym snem.

## **DZIEŃ 15**

### **2012-08-31 (piątek)**

Śpimy sobie ciut dłużej niż zazwyczaj, choć do celu, czyli Trier, dzieli nas około 60km. Pogoda nie rozpieszcza – jest bardzo zimno (ok. 12-13 C) i ma tak być przez cały dzień, o czym dowiadujemy się z lokalnych, darmowych gazet. Stajemy w luksemburskim markecie i robimy krótkie zakupy. Banków i innych instytucji finansowych faktycznie co nie miara, benzyna na stacjach tańsza o prawie 15% od tej z Niemiec, drogi równe i posprzątane. Niestety nie jest nam dane zapoznać się bliżej z tym „mini państwem” z dwóch powodów: nie wzięliśmy z Polski jakiegokolwiek informacji turystycznej o Luksemburgu oraz po prostu czas nas nagli z racji uzyskania najlepszego połączenia kolejowego do rodzimego kraju.

Tego dnia napotkaliśmy deszcz – jakże rzadki na tej wyprawie! Wjeżdżając do Niemiec czuje się różnicę w krajobrazie oraz infrastrukturze. Od razu zauważamy ścieżkę wzdłuż rzeki i chętnie z niej korzystamy, gdyż ruch na jednojezdniowej drodze bardzo duży (być może ze względu na piątek). Ścieżką rowerowa jedziemy ze 20km – czasami kropi, dalej jest zimno. Dojeżdżamy do Trier, trochę kluczymy szukając dworca, ale w końcu udaje nam się do niego

dotrzeć. W informacji dowiadujemy się od niezwykle uprzejmego Pana, iż najwcześniej naszą podróż ku Polsce możemy zacząć dopiero po godzinie piątej nad ranem! Szukamy różnych wariantów, opcji, i przy jednej z nich Pan z informacji (starszy mężczyzna blisko siedemdziesiątki) drukując dla nas opcję trasy, dodaje swój komentarz: „Long journey. Hehehehehe”. Ten jego śmiech jest niezwykle okropny, przeszywa nasze umęczone głowy. Śmiejemy się, że w dalszym ciągu II wojna światowa jest w pamięci obu narodów, gdyż ten śmiech skojarzył nam się z odgłosami karabinów maszynowych :-/ Próbujemy jeszcze złapać internet w pobliskim Burger Kingu, ale to nie McDonald. Korzystamy z dostępu do sieci mojej Moniki za pomocą kanału sms w wyniku czego plan działania jako taki udaje nam się ustalić.

Decydujemy się na opcję jazdy do Szczecina i stamtąd na południowy-wschód do Warszawy i Łodzi. Kilometrowo sporo nadrabiamy, ale godzinowo, o dziwo, wychodzi lepiej. Tylko co tu ze sobą zrobić, jeżeli nie można przesiedzieć tego czasu na dworcu (jest zamykany po północy), a miasto dosyć spore? Tak czy owak, robimy w tył zwrot, bacznie obserwując drogę tak, aby w nocy móc bez problemu trafić na dworzec. Stajemy w Lidlu, kupujemy sobie po piwku i co nie co na drogę, mając na uwadze wczesne pójście spać.

Rozglądamy się intensywnie na boki chcąc się rozbić jak najbliżej punktu startowego naszego powrotu do domu. Niestety, oddaliśmy się dobre parę kilometrów. Jeszcze stajemy przy McDonaldzie, w którym o dziwo nie ma wi-fi! Zrezygnowani tylko się ogrzewamy przez chwilę, bo pogoda w dalszym ciągu nie rozpieszcza – jest szaro, buro i bardzo zimno w porównaniu z ostatnimi parunastoma dniami. Pierwsza i parę kolejnych prób wyboru noclegu pełźnie na niczym – nie możemy się zdecydować, zaczynamy się kłócić ze złości, do tego wszystkiego zaczyna padać i to porządnie. Cofamy się kolejny kilometr (zresztą tą samą drogą, co wjechaliśmy do Trier) i znajdujemy na uboczu mały park, a w nim wąski szpaler otoczony z jednej strony żywopłotem, z drugiej drzewami i krzewami. Wokół mało kto się kręci, więc nie widząc innego wyjścia, a nawet już trochę zrezygnowani, rozbijamy swe namioty. Szybko robi się szaro, więc naprawdę ktoś by musiał uparcie śledzić, aby móc nas zauważyć.

Pijemy piwo, posilamy się ciepłym posiłkiem. Piwo okazuje się niezwykle tanim sikaczem i parokrotnie musimy wychodzić z namiotów, aby mieć spokój. Spać idziemy około 21-wszej, wstajemy o 4 rano, a pociąg ma wyruszyć o 5.25.

## **ZAKOŃCZENIE**

Podróż koleją trwa 26 godzin i wspólnie ustalamy, że jest to nasz ostatni wyjazd, gdzie korzystamy z usług kolei – jest stosunkowo drogo, wolno (nawet w Niemczech), połączenia są jedynie likwidowane, a nie otwierane nowe. W DeutscheBahn mamy pięć przesiadek (czyli zaliczamy w sumie sześć pociągów), na szczęście na wszystkie udaje nam się zdążyć, żaden nie ma katastrofального spóźnienia. W Szczecinie wysiadamy półtorej godziny po północy. Pół godziny później, z przygodami, siedzimy sami w przedziale w bezpośrednim pociągu do Warszawy. Kuba wysiada wcześniej, chcąc dostać się do Łodzi. Rowery upychamy do łazienki na sztorc i po paru wymianach zdań z obsługą pociągu, udaje nam się ich przekonać, że niczego złego nie robimy. Do domu zajeżdżam w okolicach szóstej rano i zaraz po przyjeździe kładę się spać, chcąc choć trochę odespać tą niezwykle długą podróż, która jednak nie zmęczyła nas bardziej niż zdobycie przełęczy w Mont-Cenis ;-)

### **Parę naszych obserwacji z tej wyprawy:**

- Nie zawsze działa karta, miałem przypadek, że w Carrefourze karta bankomatowa Citi nie zadziałała.
- Bardzo często nie ma znaczenia kategoria dróg vs natężenie ruchu samochodowego. Można spotkać drogę „czerwoną” o nikłym ruchu jak i drogę „żółtą” o ruchu jak na Marszałkowskiej.
- Kilometraż na tablicach stosunkowo często okazywał się mylny lub być może raz liczono go do centrum miasta, a raz do jego obrzeży.



- Oznakowanie nad wyraz częste, ale mało czytelne > często trzeba było stawać przed tablicami drogowymi i dokładnie analizować co pokazują. Gęsta i ciągle rozbudowywana sieć drogowa nie ułatwiała tego.
- Dużo samochodów z bagażnikiem rowerowym na haku i oczywiście z rowerami, a nie jak często u nas „na popisówkę”.
- W kraje zachodnie brać dwie rolki papieru toaletowego, gdyż jedna rolka na całe dwa tygodnie może nie wystarczyć, a ciężko kupić ten, jakże cenny, produkt na sztuki.
- Idealne wymiary pudła do przewożenia rowerów samolotem wraz z trzema sakwami + jedna jako bagaż podręczny), namiotem i karimatą to według nas 160x80x40 [cm] (dług. x wys. x szer.). Pudło powinno mieć wzmocnione, podwójne dno. Rączki wzmocnione taśmą.
- Nastawić się na stosunkowo chłodne zachowanie samych Francuzów, wręcz nieufne.